

TEATR LUDOWY

MIESIĘCZNIK ORGANIZACJI
TEATROW LUDOWYCH W POLSCE



WSZYSCY CHŁOPCY

Dalej w koło, w górę czoło,
tańczmy, chłopcy, a wesoło.

Inscenizację tej piosenki najlepiej robić w izbie, tak jak treść piosenki wskazuje.

W izbie zamożnej znajduje się gospodyni, kilka, a nawet kilkanaście dziewcząt, chłopców więcej jeszcze, gdyż musi być między nimi ze trzech przynajmniej muzykantów. Gromadka ta młodych bawi się wesoło, przekomarza się ze sobą, a nagle między nich wpada z dworu chłopiec, nazwijmy go Stachem, i rozpoczyna piosenkę, nawołując do tańca. Tworzą się w tej chwili pary, Felek zwraca się do gospodyni, aby dała półkwartowe szklanki, Wojtkowi to za mało i chce całego garnca, Stach zachęca muzykantów, aby grali, wszyscy w śpiewie szykują się do tanów, przyspiewując sobie nawzajem, a gdy prześpiewają całą piosenkę, kończą ją ochoczym mazurem.

Z dużym zacięciem, humorem i rozmachem musi być wykonana ta wesoła i miła piosenka.

J. Turowieczówna

P R A C A W Z E S P Ó Ł A C H

„STUKA Z GŁOWY“ P. T. „G O D Y“

W WIEJSKIM UNIWERSYTECIE ORKANOWYM W SZYCACH

Długi, długi czas siedziała Hanusia w mieście. W Poznaniu podobno. Uczy się tam na doktorkę, czy coś takiego. Do chałupy do ojców nie zaglądała, bo to i daleko, a pieniędzy nie miała — i nowy świat, życie nowe wciągnęło ją jak swoją w duszę miasta.

Tylko listy z Poznania pod Kraków szły, serdeczne, szczerze listy dziecka, ale coraz dalsze, coraz krótsze.. Czasem, to aby o tych złotych kilka proszacy.

A w chałupie coraz cięższa bieda. Hanka o biedzie nie wie nic, pamięta tylko dawniejsze czasy, kiedy słonkiem się cieszyła, świeży chleb z masłem jadła...

Aż odmieniło się jej coś—długie jakieś a nie zajęte nigdzie święta przyszły, a może i zatęskniła, dość że do domu, do Modlnicy, przyjechała.

Na tę porę, kiedy przyjechała z ojcem od Krakowa wozem, ciemno już było.

Matczyne łzy, nieśmiałe uściski, dziadkowe drżące słowa, zartobliwe, proste pytania ojca, wszystko to rozpływało się pannie Hani we mgłę jakiejś, aż ją znużenie, senność i mamusia rodzona do snu ułożyły i utuliły.

Niewiele się tego wieczora przyjrzeli sobie wszyscy. Ale Rodzice i Dziadus jedno wyczuli: dziewczucha, choć pani prawdziwa i piękna, przecie jak była, tak została ich własna, swoja.

(zaczynamy grać)

I

Świt. Ledwie, ledwie rozwidnia się w okienku. Matka, płachtę z mlekiem do Krakowa, jak codzień, szykuje, godzinki odśpiewując. Ojciec zbiera się na robotę do dworu. Oboje przykazują sobie wczesnie wracać. Jutro wilja. Roboty w chałupie huk, trza być już od obiadu w domu, Krzątając się na palcach, co chwila uciszają się jeszcze wzajem.

Matka na odchodnem przychodzi cichusko do łóżka, w głębi izby widnego, wyciąga rękę, jakby kogo pogłodzić miała, ale nie śmie... odchodzi. Jeszcze tylko Dziadusiowi przykazuje, aby rozpalil, mleka nwarzył i „gadzinę“ dopilnował... Dziadek sam zostaje. I on pacierze mówi, a na palcach koło komina chodzi. Aż przysiadł sobie na ławce i nam patrzącym opowiada o „wnęce“, o Hanusi, co się w mieście dalekiem uczy, a teraz do chałupy przyjechała i oto śpi zmęczona. Więc nie trza jej budzić!

Ale się nie udaje Dziadusiowi sprawić cicho: ot, kijek mu na ziemię upadł. Obudzi się dziecko? Nie, śpi. Masz! kichnęło się Dziadusiowi. Struchlał. Przysiadł na brzeżku ławy, na łóżko patrzy jak winowajca.

A Hanusia obudziła się teraz naprawdę. Wyspana — radosna jakaś, śmiejąca. No, bo to przecie u Mamusi jest! Ale gdzie Mamusia? Dziadus objaśnia: Mamusia w Krakowie, Tatusz we dworze. Hanka raz, dwa! wyskakuje z pod pierzyny, do drugiej izby biegnie i ubierając się, wypytuje Dziadka: poco oni tam chodzą. Dziadus żywiej koło ognia i mleka drepce a wnuczce odpowiada: Juści, bieda ścisnęła. Trza było — jak nigdy dotąd — za robotą się uganiać, każdą kroplę mleka sprzedąć. A i Hanusi czasem choć dziesiątkę posłać trza było.

Dziewczyna wbiega, ubrana już, z Dziadusiem się wita. Ej!.. ale to urosła! Na twarzy jej wesołość jakby przygasła trochę. To u was taka bieda? Boże, Boże, a tam w mieście, daleko, kiedy się samemu czasem nie doje, dom ojcowski bogatym się wydaje... Zresztą nie wiedziała, że aż tak. Prawda. W izbie bardzo pusto, biednie...

Coś rozumieć, coś postanawiać zaczyna. Najpierw, chusteczkę mamusią (tę białą, bo w niej Hanusi najładniej) na głowę. A ładnie mi, Dziadusiu? Dziadus chwali, cuduje się! — Aleś piękna, tyś piękna, dziecko.

Hanka do roboty się bierze. Cóż to? Dziadek gotuje? Ledwie chodzi przecie i pokaszluje. Już do ognia przykłada, już zamiata izbę, łóżko ściele, a gada, a opowiada, a pyta za wszystkie czasy. Oboje się rozgałali, nie słyszą, jak idzie ktoś przez sień. Aż wszedł. Jezu drogi! — Stasiu! Brat cioteczny, przyjaciel Hanusi z tych lat, co to jeszcze każde lato, każde święta w domu... Ten sam kochany, dobry Stasiu!

On zaś nieśmiały. Bo to pani prawdziwa... Ej — a nie stój-że, Stachu, jak dawniej bywało, siostrę uściskaj. Siadajże, rozpowiadaj, co we wsi, co w gromadzie naszej, w Kole?

Ale Stasiu głowę zwiesił, smutno spogląda. Uradował się Hanczym powrotem. Może choć ona coś ze świata przywiezie, pokrzepi... Bo źle na wsi. Bieda, zniechęcenie, Koła tak jak niema... Ludzie skłócenia, pan na swoje ciągnie, gorzej jeszcze, jak posłem zostałem. A chłopcy nic. Wstyd powiedzieć, on sam od wszystkiego odsunął się, w chałupie siedzi.

Hanka wierzyć nie może! To tak jest? To tak? I w Was siły niema i nikt nie pomaga?

A któżby? Ty i tacy, jak Ty, poszli w świat, a przyszli tu inni do nas, każdy na swoje podwórko ciągnie, a porady żadnej...

Hanka buntuje się. Nie, tak, Stachu, być nie może! Choćbym miała dłużej zostać: choćby i rok nauki stracić, musimy coś radzić oboje. Do ludzi pójdziemy, kogo może z Krakowa zawołamy, obgadamy wszystko, co się poprawić da!

Staśka słowa siostrzyne krzepią. A może? Samemu tak trudno było, tak źle. Radość, zapał, jak to u młodych. opanowuje ich nagle. Uścisk rąk, wspominki... A pamiętasz, Stachu, jakeśmy z Zielonek, z dożynków wracali? — A pamiętasz, jakeś mnie do Krakowa, do teatru zabrała? A to, a tamto, ciśnie się z dawna przed oczy, do serca...

A tu prawie południe. Ojciec i Matka wracają. Dziś dopiero córkę widzą dobrze. Radość, łzy — śmiech! Tylko twarze Rodziców postarzałe i biedne, dziwne, — a odzież na nich połatana. Dziadek — dogaduje, żartuje, coraz to Hanusi coś zabawnego opowie. Ojciec — Stachowi prawi, że pan dziedzic już trzeci raz woła Stacha do siebie, sprawę ważną ma. Ale chłopak dumny: jedna droga dziedzicowi do mnie, jak i mnie do niego — mówi. A Hanka za nim: prawda! mówi. Tak gwarzą chwilę, a i w tej pogwarce „bieda“ z ust nie schodzi.

Słucha Hanka, rozumie, rozumnie... Aż tu, Boże Świąty! — co to? Chłopak mały zadyszany do izby wpada, przed Stachem staje i okropnym głosem krzyczy: — Wasza chałupa się pali!

Jezus Marja! Zachwiał się Stach i we drzwi runął. Za nim wszyscy. Na drodze słysząc już gwałt, krzyk, trąbkę strażacką.

Oł, grom z jasnego nieba. Nowa, ciężka, okropna bieda.

Dziaduś tylko w izbie zostaje i drżącym głosem powtarza: dopust boski, dopust boski..

II

Spaliła się Staśkowa chałupa. Oboje z Matką u siostry matusinej siedzą, u Hanczynej mamusi.

Już nocowali tu. A dziś wilja. Toboły po kątach leżą, Matka płaczu i osłupieniu w odrętwienie jakieś wpadła. O tam, na łóżku w kącie siedzą. Wszyscy milczą, siedzą już wyplakani, na wolę boską zdani.

Stasiek! Ej już to los się na niego zwałił. Ojciec ledwie zmarł, w gromadzie nie szczęściło się, siły opuściły, sumienie gryzło... bo przecież on był dotąd duszą gromady! I odszedł. Ale tu w chałupie ani rady dać; Matka nieporadna, on młody, bieda gniecie, a jeszcze i Zośka do miasta poszła — dziewczucha jego. Już widziało się z Hanką radość jakaś do wsi wraca, na dobre się coś przemieni, aż tu nieszczęście takie. To też bez myśli i czucia siedzi Stach na ławie w ciocizynej izbie. Hanka nie-radna być nie umie. Wstaje oto, na Ciotkę, a Staśka spogląda, widzi: szkoda gadać.

Do Matki idzie, pociąga ją w kąt izby i tłumaczyć, perswadować zaczyna. Dziś wilja! Ciotkę i Stacha z odrętwienia wyrwać trzeba. Ten święty wieczór niech ich ukoj, utuli... Zakrzętnąć się trza. Dla zwyczaju, dla pokrzepienia, dla nas i dla nich.

Tak, tak. Matka rozumie. Juści prawda. I Ojciec podchodzi, głos

swoj zgodny dorzucą. I oto rozchodzą się: Ojciec do sklepu, Matka do komory, Hanka po izbie krzątać się zaczyna.

Na tę porę właśnie gość nadchodzi i to bardzo rzadki Sam Dziedzic! Współczucie swoje pogorzałcom chciał okazać. Skąd? Co? Dlaczego? A to jakoś do Stacha serce poczuł. Za rękę go ściska, pociesza i co to? Czy uszy starą Matkę mylą? Przyobiecuje drzewo na dom, konie do zwózki dać... A i czego ten chłopak za nogi Dziedzica nie obejmie, nie podziękuję za łaskę, jeno jak siedział przybity zgnębiony, tak siedzi?

A Pan swoje przekłada. Oto kiedy posłem został, chce z ludźmi żyć a wieś swoją — za sobą mieć. Stach Kasprzyk najmocniej murem przeciw niemu stał. Gdyby tak — Stach właśnie—ze swoją głową i charakterem mocnym po stronie jego stanął! Czuje Pan, że chłopaka ostatnie nieszczęście przygniotło. Słabość jego i ból — wykorzystać chce. Drzewo daje! Konie! Przyjaźń sąsiedzką przyobiecuje, a na te smutne, biedne święta, jako zadatek przyjaźni, stówkę na stole kładzie.

Nie dowierza Stach uszom... oczom... Aż go coś jak belką w łeb zważyło. Wstał, pięścią w stół uderzył i zdławionym głosem woła: „Bierz pan to, bierz! Kupić mnie chcesz w godzinie słabości? Kupić!“ Chce mówić więcej, nie może. Ale oto Hanka, drżąca z oburzenia i wstydu za pana, dumnie przed nim staje i za brata mówi. Jak śmie Dziedzic z takim słowem do chałupy ich przyjść! O honorze chłopskim, o miłości do sprawy wielkiej i pięknej swego brata, a podłości dziedzicowego czynu.

I musiał Pan ze swoją stówką, z pochyloną głową pójść precz.

A Stach jak dziecko zapłakał. Już to ostatnie na siły jego za wiele. Siostrzyną dobrą ręką i słowem tuli go Hanusia.

Co to? O Boże! Czy znówu nieszczęście! Krzyk za oknami, tupot Do izby ludzi kupa wpada i Rodzice oboje, a przed sobą pędzą dziewczę: Mańka Adamkowa z dzieckiem w płachcie, „Podpalaczka“! To ona! ona spaliła, ona. Dziewuchę biją, popychają.

Hanka na równe nogi staje, dziewczuchę ramieniem osłania, ludziom spokój nakazuje. Ojca pyta, za co i kogo to karzą? Mańka to, co u Ciotki służyła. Jasiek Filipezak brać ją miał i porzucił, z dzieckiem. Za to dziecko wyrzuciła ją ciotka. A to z zemsty chałupę cioteczyną spaliła.

Ciotka z pięściami ku niej idzie...

Stasiek wstrzymuje Matkę, przez własną mękę cudzą rozumieć zaczyna... Mańka, do Hanusi przytulona, jak pies zbity drży, tylko dziecko przyciska do piersi. Zapytana przez Hanę, rwiącemi słowami odpowiada: Tak, podpaliła. Bo kiedy ją na mróz z dzieckiem gospodynę wyrzucili, kiedy do ludzi wstyd było, a ku swoim nie miała gdzie iść, zemsta jej sercem targnęła.

Zapagnęła, aby się ogrzali dosyta za to wygnanie, za to marznięcie dzieciątka jej... I podpaliła!

Ludzie znów do niej, jak do złego psa: „Ty, ty suko—ty jedna“!

Ale Hanka jej broni. Gorąco, z całej duszy, nawołuje ludzi do odejścia. Wilja dziś święta! Nie godzi się w dniu takim zemsty szukać. Kara w rękach Boga. Dziewczynę skrzywdzili. Dzieciątka krzywdę mściła!

A oto i Dziadek godnie, poważnie po stronie wnuczki staje. A dodaje jeszcze, że nie radziłby teraz sprawy z Mańką przed oczy ludzkie

wywlekać! Bo przecie i ona skarżyć się może... I Stachowa matka bez winy nie są. Ot na Boga sprawiedliwość zdać, a w te święta godne dziewczynie kąta i strawy nie żałować, krzywdę jej wynagrodzić!

Prostemi, a mądrymi słowami Dziadek kończy.

III

Jak mogli, tak postarali się Hanusia i ojcowie, aby w ten święty wieczór po dawnemu urządzić wieczerzę. I siedzą se dokoła stołu wszyscy razem. Jeno że nikt jakoś przemówić nie może. Pośnik zjedli, trzeba zakolendować...

Ojciec — „Wśród nocnej ciszy“ zaczyna. Śpiewają cichutko, potem nieco śmieiej, a Mańka, kołysząca dziecinę, ze szczerego, wdzięcznego serca wtórzy...

Ale żalu jeszcze w sercach tyle. Stachowa Matka zachłysnęła się łzami, płacze.. Za nią Siostra, i Stach, i Hanezyn Ojciec, i ona sama.

Płacz serdeczny, żaloszny, a ulgę już niosący, ścisnął ich za gardła. Aż tu kołacze ktoś... — ktoby to się spodziewał. Teraz, dziś! Dziedzic i Ksiądz. Dziedzic odmienny jakiś, Stachowe ręce ściska, o przebaczenie prosi i przyjaźń szczerą. I jak przyjaciel pomoc swoją ofiaruje. Ale jeno tak po sąsiedzku. Ksiądz proboszcz dopomógł mu przełamać wstyd fałszywy i do Stacha przyjść! Bo sam to czuł zresztą, — domowi otarli oczy, jaśniej jakoś po sobie patrzą.

Nagle nowe kołatanie, kto? Dobry Boże: „Sąsiady“. Jeden za drugim, z tem pocieszeniem i z darem niejednym. Każdy pośnik z rodziną zjadł, a jedząc, o pogorzalcach myślał. A że to Kasprzyki na drodze do kościoła siedzieli, to każdy wcześniej się na pasterkę wybrał, a do nich z tem słowem, to z trochą mąki, to jaj, to kaszy, wstąpił.

W chałupie coraz jaśniej, radośniej. Już i śmiech słychać!...

A Mańka w kąt się nieco z kolebką usunęła i kołysze... kołysze...

Ksiądz i Pan patrzą, coś ich z gromadą tą poniewoli sprzaga, Hanka od radości promienieje. Jakoś tak się czują wszyscy, jak w najlepszej, w najmilszej rodzinie. Godnie, prawdziwe święta! Kolenda!

Święta! Kolenda! Hanka, zdaje się, poddała: „Bóg się rodzi moc truchleje... ..a Słowo — Ciałem się stało“...

Ale Ksiądz Proboszcz żegna. Na pasterkę śpieszy. Stach z rozradowanego serca rzuca słowo, aby do kościoła gromadą poszli. Hej Boże! Odmieniło się w sercach. Ile radości, mocy!

Wszyscy idą: razem z Księdzem i Panem, Sąsiadami.

Dziaduś szliby też, ale nogi ich bolą...

Pan obiecuje za moment przysłać dla wszystkich starych i słabych sanie... Ej co radości!

Oto idą gromadą wielką. „Pójdźmy wszyscy do stajenki“ śpiewają po drodze.

W izbie zostaje dziewczucha, podpalaczka Mańka, lampkę przykręciła, przy kolebce siadła.

Cichutko, w takt kolebki śpiewa:

„Lulajże, Jezuniu, lulajże, lulaj,

A ty Go, Matulu, w płaczu utulaj“.

Śpiewa coraz ciszej, wolniej, senna, znużona, biedna głowa matki na ramię oparte, o kołyskę opada. Zasnęła.

Ona, na straży chałupy, u ludzi, którym oto wczoraj chałupę spaliła...
Ale wiadomo przecie: z boleści to uczyniła, z żalości. Wiadomo przecie: sierota.

— — — — —

„Gody“ — graliśmy w Szycach — w czasie tegorocznych Świąt Bożego Narodzenia. Ludzie z okolicznych wsi wyrazili szczerze uznanie. My sami mieliśmy głębokie zadowolenie.

Treścią tej „štuki“ dzielimy się teraz. W tych trzech krótkich scenkach może się wyrazić w każdym zespole inne odczucie, inne odtworzenie. Ująć, dodać coś, można i trzeba. Grać z treści jeno, bez uczenia się roli napamięć, jest łatwo, — a radości gra taka daje wiele.

Trzeba tylko czuć głęboko treść i wierzyć w siebie.

Zofja Solarzowa

CIEKAWY WYDAWNICTWA

„PIEŚNI GÓRALSKIE“ C Z. I.

zebrał i opracował Wł. K. Rzepecki

przedmowę napisał J. G. H. Pawlikowski

Tyle śpiewników, a tak mało dobrych... Nareszcie jest jeden prawdziwie dobry. Dobry, bo jednolity i ułożony celowo. Sądząc z karty tytułowej, mogłoby się zdawać, że cel jest nieco wąski... Figuruje bowiem na niej motto z pieśni wyjęte: „Janosika imie nigdy nie zaginie“... Ujęcie jednak właściwe celu śpiewnika znajdujemy w świetnej przedmowie Pawlikowskiego. Czytamy zatem, że celem jest „zaznajomienie młodzieży z melodjami Podhala“ a także, że „tekst muzyczny, zarówno jak i słowny, przy zachowaniu ogólnego i autentycznego charakteru, zawiera zmiany w kierunku udostępnienia go i przystosowania do użytku młodzieży“ (prawdopodobnie szkolnej). A zatem mamy oto śpiewnik regionalny. Trzydzieści pieśni góralskich wybrano starannie, wydrukowano bez błędów, co zasługuje na szczególne zaznaczenie, wreszcie — nadano śpiewnikowi szatę rzadko dotąd spotykaną wśród książek szkolnych, przystrojając go w drzeworyt Skoczylasa.

Potrzeba regionalnych śpiewników jest wielka. Potrzeba ta daje się odczuć osobliwie dwom instytucjom: szkole i chórowi ludowemu. Co też się nabiedzi nauczyciel, zanim mu się uda zdobyć choćby trzy pieśni dla użytku szkolnego w czasie obchodu, czy wieczoru regionalnego! Znalazł wreszcie w Kolbergu, Glogerze, albo, na odpowiedzialność przygodnego folklorzysty dał chórowi szkolnemu w pośpiechu, w ostatniej chwili zharmonizowaną piosenkę.. Rzepecki zaradził złą, jeśli chodzi o pieśń góralską dla szkoły.

Do szkoły przystosował również tę dziką i w dzikości swej ogromnie piękno hodującą pieśń. Nie pozwolił autor śpiewnika ułapić Janosika „z dziewczyną w komorze“ i, ku przystojności, kazał go przychwycić, kiedy został w komorze sam jeden, z ciupagą.